

BOLESŁAW PRUS

NA WAKACJACH

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj

na wsi o kilka wiorst od siebie i widywaliśmy się prawie co dzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne. oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę.

Mnie

pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał

się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego

zakłopotania, ale on sam zaczął.

- Wiesz - odezwał się - miałem dziś głupi wypadek. Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby, "głupi wypadek" mógł się zdarzyć tak panującemu nad

sobą człowiekowi.

- Mieliliśmy - mówi dalej - z rana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

- A tyś może skoczył w ogień?... - przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu

padł na twarz blask zachodzącego słońca.

- Zapaliły się - ciągnął po przerwie - konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Saya, ale

na widok kłębow czarnego dymu i płomyków wydobywających się ze szczelin

przy

kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce.

Ludzie

byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby lamentujące nad

nieszczęściem, organiścińę, która obrazem św. Floriana zażegnwała pożar, i chłopca, który medytował trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobieta wyszli w pole.

"Oto nasz system budowania!... - pomyślałem. - Dom płonie, jakby go prochem nabito..."

Istotnie, w ciągu paru minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakietę musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osękami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni leli wodę z konewek w taki sposób,

że nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wyrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął: "Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!..."

- "Gdzie?..." - spytano. - "W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego..."

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się jak rozpalone druty.

Wyznaję, że gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

"Jeżeli nikt nie idzie - pomyślałem - więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale -jakież piekielne gorąco!..."

"No, ruszże się który! - wołały baby. - O wy, psie dusze, nie warciśta nazywać

się chłopami!..." - "To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! - ofuknął ktoś z tłumu. - Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe jak kurczę, i tak już nie żyje..."

"Ładnie! - pomyślałem - nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż - szepnęła mi rozwaga - jakie licho ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja

wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?..."

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

"Ale trzeba w końcu wdrzeć się tam - myślałem - każda sekunda jest droga.

Dzieciak przecie nie może spalić się jak robak.

- Lecz jeżeli już nie żyje?... - odpowiedziało zastanowienie -w takim razie szkoda nawet surduta..."

Z daleka odezwał się straszny krzyk kobiecy: "Ratujcie dziecko!..." -

"Trzymajcie ją!... - zawołano w odpowiedzi. - Skoczy w ogień i zginie..."

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk: "Puszczajcie !... to moje dziecko!..."-, „Cięgnij ją wół!..."- odpowie-dziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tłą włosy, i - cofnąłem się rozgniewany. "Co za głupi sentymentalizm - pomyślałem - dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszdyło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!..."

Wtem potraçała mnie jakaś młoda dziewczyna biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk

wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie tak

silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nie umyte nogi.

"Co ty robisz, wariatko?! - krzyknąłem - tam już jest trup, nie '» dziecko..." - „Jagna! chodzi tu!..." - zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a

mnie

pociemniało w oczach.

"Ja-gna!..." - powtórzył lamentujący głos.

"Zara!... zara!..." - odpowiedziała dziewczyna przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w rękach chłopca, który obudziwszy się wrzeszczał wniebogłosy.

- Więc dziecko żyje? - spytałem.

- Jak najzdrowsze.

- A dziewczyna... czy to jego siostra?

- Gdzież tam! - odparł - zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

- I nic się jej nie stało?

- Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu widziałem ją; skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nucila fałszywym głosem. Chciałem jej

wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl: jej dziki zapach i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu.

My już tacy!... - dodał i począł szpicróżgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy i chłodny wiatr przyniósł od stawu rechotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej

porze obaj układaliśmy projekta na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył.

Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepczą krzaki:

- Wy już tacy!...